Dodatek bezpłatny.

№ 10. Sosnowiec, 22 kwiecień 1923 r. Rok XIV.

ISKIERKA

Pisemko tygodniowe dla dzieci.

Listy do dzieci.

KOCHANE DZIATECZKI!

Radośnie spędziły minioną sobotę dzieci ze szkół z okolic Myszkowa, Siewierza i Żarek. W tym dniu około 400 dzieci wzięło udział w święcie sadzenia drzewek. Nazywamy taki dzień świętem, bo, spełniając rzecz niezwykle pożyteczną, dzieci tamtejsze dzień sadzenia drzewek uświęciły niejako swoją pracą i uczyniły piękniejszym, niż inne dni powszednie.

Te 400 dzieci, o których Wam wspominaliśmy, zasadziły ni mniej, ni więcej tylko aż 6 tysięcy drzewek, czyli każde dziecko musiało zasadzić około 15 drzewek. Drzewka sadzono przy szosie, a choć doły już były gotowe, bo je przedtym wykopali dozorcy drogowi, to jednak sadzenie drzewek w takiej ilości to nielada praca. A przecież dziatwa pracy tej dokonała, mając wewnętrzne zadowolenie, jako jedyną nagrodę za swe trudy.

Zadowolenie to jednak ciągle będzie trwało w ich sercach. Ile razy bowiem znajdą się w pobliżu drzewka przez siebie zasadzonego, tyle razy z radością spostrzegą stałe rozrastanie się konarów i będą z niecierpliwością wyczekiwały dnia, w którym ich drzewko wyda pierwsze owoce.

A chociaż może sami kiedyś pójdą daleko w świat, przyjdą tu inni i mogąc spocząć w cieniu zielonych gałęzi, lub zaspokoić piekące pragnienie soczystym owocem, będą błogosławili tych, którzy sadząc drzewka, nie mieli tylko własnej korzyści na względzie, lecz pożytek wszystkich ludzi.

Sadź, dziecino, drzewko sadź!...

Sadź, dziecino, drzewko sadź!
Cieszy się ptaszęca brać,
Że bez własnej, ciepłej chaty,
Będzie się mógł ród skrzydlaty
Tu przed burzą zawsze skryć
I gniazdeczka sobie wić.

Gdy posadzisz wiele drzew,
Powita cię ptasząt śpiew,
A wśród drzewin tych zieleni
Owoc się też zarumieni
I w upalny, letni dzień
Chłodzić będzie miły cień.

Sadź, dziecino, drzewko sadź!...
Przyjdzie tutaj wicher grać:
Na gałęziach w różne sploty
Wygra wszystkie twe tęsknoty
I na niebios wzniesie próg,
By je ujrzał dobry Bóg.

Sadź, dziecino, drzewko sadź
Tak, by mogło długo stać.
Patrząc w słońce, hen, radośnie,
Niechaj razem z tobą rośnie,
Jako jednej ziemi brać.
Sadź, dziecino, drzewko sadź.

K. Ćw.

MAŁY WOJTUŚ.

Wojtuś gnał przez wieś krowy na pastwisko i pogwizdywał sobie wesoło. Czegóż się miał smucić?! Matuś pieściła i smakołykami karmiła swojego jedynaka i dobrze mu było w ojcowskiej chałupie. A że teraz kazano mu krowy pasać, to trudno. Cóż miał robić? Musiał być posłuszny, jeżeli nie chciał zawrzeć bliższej znajomości z tatulowym pasem. A jak się już raz zgodził z tą myślą, że krowy pasać musi, to mu już lżej na sercu było i weselej patrzał na świat Boży.

Gnał tedy Wojtuś przez wieś swoje krowy, a przechodząc właśnie koło budynku szkolnego, z szacunkiem spojrzał przez wielkie okna oszklone i zobaczył w dużej sali jakieś tablice, porozwieszane na ścianach. Krowy poszły naprzód, więc się nie mógł dłużej zatrzymać przy szkole, musiał bowiem swym krówkom dotrzymać kroku. W dalszej jednak drodze po raz może pierwszy w jego krótkim życiu zaczął się zastanawiać nad tym, czyby nie lepiej było iść do szkoły, niż krowy pasać. Byłoby to może i lepsze, tylko się Wojtuś bał, czy tatulo, gdy mu powie o swych chęciach, nie weźmie się do tego strasznego pasa, który tyle lęku budził w maleńkim serduszku Wojtusia.

— Eh! — pomyślał Wojtuś. — Lepiej dam spokój!

Ale los jakoś uwziął się w tym dniu na Wojtusia. Zaledwie nasz pastuszek razem ze swoimi krówkami wysunął się z opłotków miejskich, aż tu idzie sobie wolno ksiądz proboszcz ze starszym Ma-

MAYNE REID.

Polowanie na lewjatana.

Tłumaczył W. M.

Pozostawiając to wszystko zresztą na boku, muszę stwierdzić, że zarówno ja, jak i moi towarzysze, po wejściu na salę, mieliśmy tylko jedno pragnienie: opuszczenia tego miejsca za wszelką cenę.

I jak tylko udało nam się znaleźć pretekst, pomimo próśb senjora Salvadora, pomimo strasznej ulewy, opuściliśmy zabawę.

Skierowaliśmy swe kroki w centrum miasta, szukając jakiego przyzwoitego schronienia. Przed wejściem na rynek, ujrzeliśmy większy budynek w stylu bardziej pretensjonalnym od zabudowań sąsiednich. Z boku tego budynku była otwarta szopa, która wydała nam się wprost zbytkowną. Po wejściu tam, przekonaliśmy się, że szopa stanowiła doskonałą ochronę przed deszczem.

Noc była upalna, a więc przemoczenie naszej odzieży niewiele nas zajmowało. Nawet było nam na rękę, gdyż parowanie odzieży chłodziło nas nieco. Na nieszczęście zapomnieliśmy o mustykach, które zaczęły nas kąsać niemiłosiernie. Nie mogliśmy ani na chwilę zmrużyć oka i dopiero świt rozpędził owady. Wyciągnęliśmy swe zmożone członki na słomie, która się w szopie znalazła przypadkowo i zapomnieliśmy o wszystkich troskach i dolegliwościach.

Spaliśmy z godzinę po wschodzie słońca. Obudziwszy się, doprowadzilismy do jakiego takiego porządku odzież. Zdecydowałem się odszukać kapitana, co nie było rzeczą trudną za dnia.

Ludzi odesłałem do łodzi, a sam namyślałem się w którą iść stronę, gdy nagle rozwarło się okno i w nim ujrzałem wychyloną postać kapitana Pijwody. Kapitan, zdziwio-niepomiernie widokiem moim, zawołał:

— Dzięki Bogu! Pan tu, panie Macy? Cóż pana przyniosło na ląd? Przypuszczam, że na Obłoku Latającym nic złego się nie stało, co?

— Myślę, że nie, panie komendancie, ale napewno nie wiem.

— Jakto pan nie wie? Dlaczego?

— Dla tego, że tam nie byłem od rozstania się naszego.

— Co to ma znaczyć, panie Macy?

Opowiedziałem mu wszystko z najdrobniejszym szcze-

gółami o naszych przejściach wczorajszych i zwróciłem uwagę na dziwne zachowanie się senjora Salvadora.

— To dziwne, powiedział kapitan po namyśle, że ten pilot opuścił was tak nagle, nie myśląc o niebezpieczeństwie, na które się narażał. Ale przypominam, że zna on się na tym dobrze i że niebezpieczeństwo widac nie było tak groźne. Ale choćby było najmniejsze, po co się narażać, jeżeli nikt mu nic nie zrobił?...

Już chciałem powtórzyć tłumaczenie, które słyszałem od pilota, gdy kapitan krzyknął:

— Do stokroć! Zdaje mi się, że jestem w domu!

Z tymi słowy cofnął się od okna.

Zdziwiony pozostałem na miejscu, czekając na to, co się stać miało. Wiedziałem, że kapitan wyjdzie z domu. Istotnie, po krótkiej chwili ujrzałem go, zbliżającego się szybko ku mnie.

— Panie Macy — zawołał zdaleka — czy pan zauważył w łodzi, z tyłu, małą torbę płócienną?

— Nie, kapitanie, nie widziałem.

— Ale ona tam była. Pójdźmy więc sprawdzić.

Bez dalszych wyjaśnień ruszył krokiem przyspieszonym ku morzu. Poczerwieniał i był widocznie wzburzony. Szedłem za nim, nie domyślając się bynajmniej przyczyny wburzenia.

Po przybyciu do łodzi znaleźliśmy wioślarzy na ławkach, oczekujących na rozkaz odpłynięcia.

Wzrok kapitana skierował się na tył łodzi, poczym rzucił majtkowi to samo, co i mnie pytanie o torbę.

Odpowiedź otrzymał taką samą: nikt nie widział torby.

— A więc — krzyknął kapitan — obecnie wiem, czemu senjor Salvador tak prędko i niespodzianie was porzucił. Ale dobrze. Ja go przyłapię, tego łotra. Nie będę tu robił zakupów. Możemy jeszcze o tych zapasach, które mamy, dopłynąc do wyspy Maurycego. Nie potrzebujemy więc rzucać kotwicy. Ale ja mu dam dobrą nauczkę, na którą zasłużył. Przypuszczam, że przyjdzie tu jako pilot. Zapłacę mu taką monetą, jakiej się nie spodziewa.

Uwagi końcowe robione już były półgłosem i zwrócone niejako do mnie. Zapytałem więc zirytowanego kapitana, czy torba zawierała co cennego.

— Naturalnie — odparł. Przecież nie robiłbym o nic takiej awantury.

— Czy pieniądze, panie kapitanie?

— Tak pieniądze; dwieście dolarów hiszpańskich. Jestem pewny, że senjor Salvador je buchnął. Nie dziwię się, że był taki hojny na tym fandango. Miał środki po takim połowie!

— A czy nie możnaby go aresztować i oddać pod sąd?

— A po co? Nie mam dowodów prócz tego, że był obecny w łodzi. Zresztą, gdybym nawet miał dowody, jasne jak słońce, on by się wykręcił, dz eląc się łupem z sędzią. I byłby bielszy od słońca. W dodatku, czyż my tu możemy siedzieć miesiąc, a może rok do sprawy dla dwustu dolarów? Nie. A więc pozostaje mi jedyny sposób ukarania złodzieja, mianowicie zmuszenie go do wypełnienia obowiązku pilota. Boję się tylko, czy się teraz zgodzi. Możliwa, że go więcej nie ujrzymy. Ale, co widzę! Przecież to on!

Na honor, tak, to był on nasz pilot. Oddalony od nas o jakie pięćdziesiąt jardów, zbliżał się do nas szybko.

Po chwili był tuż i pozdrowił nas z całą elegancją. Był spokojny, słodki i uśmiechnięty.

O całej sprawie nie wspomnieliśmy ani słówkiem. Kapitan, panując nad sobą, odkłonił się uprzejmie i tonem przyjacielskim odezwał się w te słowa:

— Dzieńdobry, senjor! Dowiaduję się oto, że nie mieliście szczęścia ubiegłej nocy i nie mogliście dojrzeć ogni Obłoku Latającego. Dziś pójdzie lepiej. Wejdźmyż natychmiast do łodzi.

Pilot spełnił rozkaz i w ciągu pół godziny byliśmy już na pokładzie Obłoku.

Tu rozegrała się scena nader zajmująca między kapitanem Pijwodą a pilotem.

— Przypuszczam senjor, że pan był bardzo zadowolony nocy ostatniej, że panu się udało tak łatwo skraść torbę.

— Jaką torbę, kapitanie?—zapytał pilot tonem niewinnym.

Wszyscy słuchacze i widzowie przypuszczali, że pilot gra komedję.

— Ależ ta torba płócienna, którą pan zabrał z łódki, przed nagłym jej opuszczeniem nocy ubiegłej.

— Swięty Boże! Kapitanie! Pan mówić zagadkami. Ja nie wiedzieć, co pan mówić, wcale, zupełnie!

— Zaraz się pan dowie, odparł kapitan, wydając rozkaz rozpięcia żagli.

W mgnieniu oka rozkaz spełniono i statek skierowano na pełne morze.

W tym czasie rozmowa trwała dalej na tyle Obłoku.

— Tak, senjor Salvador,—ciągnął kapitan — pan ukradł torbę, w której było dwieście dolarów srebrnych. Ale niech pan będzie spokojny, ja zmuszę pana do odrobienia tej sumy.

Widziałem sporo ludzi żdziwionych, ale nigdy żdziwienie ich nie było tak naturalne, lub tak dobrze odegrane, jak pilota. W pierwszej chwili zapomniał on o swej niewinności; słowa jego i ton mowy miały tylę szczerości, że byłoby grzechem nie wierzyć temu wszystkiemu. Pilot padł na kolana i złożywszy ręce na piersiach krzyczał:

— Panie kapitanie! Jestem niewinny. Nie brałem pańskich pieniędzy; nie widziałem torby, wcale nie widziałem!

Jeżeli to była komedja, jak to wszyscy skłonni byliśmy przypuszczać, to pilot był znakomitym aktorem.

Ale kapitan Pijwoda nie ustępował. Głuchy na wszystkie prośby oskarżonego, chciał, by jego rozkaz był spełniony, więc statek szybował w kierunku oceanu, pomimo płaczu i protestu senjora Salvadora.

Zrobiliśmy z jakie dwanaście węzłów, gdy w usposobieniu kapitana zaszła zmiana, pomyśla dla oskarżonego. Przedewszystkim ten człowiek mógł być w samej rzeczy niewinnym, powtóre postępowanie kapitana z punktu prawa międzynarodowego mogło mieć złe skutki. Wszystko to skłoniło kapitana Pijwodę do zwolnienia swego więźnia i do odesłania z powrotem do portu.

Naturalnie, my wszyscy, od pierwszego do ostatniego byliśmy przekonani, że pilot był złodziejem. Ale z czasem zmieniliśmy zdanie i żałowaliśmy pohopności w oskarżaniu go bez podstaw, W kilka tygodni bowiem, gdy zabrano się do remontu łodzi, znaleziono pod deskami nietkniętą torbę z dolarami.

XV.

Potrzeba lekarza — W chwili amputacji.

Wydostaliśmy się z kanału Mozambickiego wylotem północnym.

Kapitan Pijwoda w tym roku skwitował z odwiedzin wyspy Utrapienia, a to z racji tej, że uważał sezon za spóźniony i po drugie, że słyszał, jakoby wieloryby widziano przy wyspie Maurycego. Mówił mu o tym gospodarz, u którego nocował w porcie.

Tym razem nas nie oszukano. Na wschód od Madagaskaru znaleźliśmy sporo lewjatanów. W trakcie polowania mogliśmy swobodnie zaopatrywać się w żywność bądź na wyspie Maurycego, bądź na Burbonie.

Po tak udatnym połowie zaczęliśmy myśleć o powrocie i o należytym zmagazynowaniu naszej zdobyczy. Zwykle drugi oficer doglądał tej operacji, za którą był odpowiedzialny. Ale tym razem wziął na siebie uporządkowanie magazynu sam kapitan Pijwoda.

(C. d. n.)

ciejem, co to był najmądrzejszy chłop ze wsi. Wojtuś słyszy głośną rozmowę:

— Słuchajcie Macieju! — mówił ksiądz proboszcz — a kiedyż to przyjdziecie na plebanję założyć szkółke drzewek?

Maciej coś tam odpowiedział ale Wojtuś już nie słuchał, bo mu się wbiło w główkę to, że i drzewka pójdą do szkółki i będą mądre, tak, jak Antek, Franek i inni, którzy już czytać nawet potrafia, tylko on jeden Wojtuś zostanie głupiutki i całe życie będzie krowy pasał

Zbuntowało się w nim serce i kiedy przygnał krowy w południe do domu, nie zwracając uwagi na pas tatula, rzekł śmiało:

— Tatulu, ja już nie chcę dłużej z krowami siedzieć na pastwisku. Ja chcę do szkoły.

I zaczął ojcu tłumaczyć, że jeżeli jabłonki, wiśnie, śliwy i grusze są w szkółce, to dlaczego tylko on miałby do szkoły nie chodzić.

Serdecznie się uśmiał tatulo z tego Wojtusiowego przemyśliwania, ale na drugi dzień już nasz mały bohater, czysto ubrany, z książką pod pachą wędrował do szkoły. Tam się dowie napewno, jaka to różnica między szkółką dla dzieci, a szkółką dla drzewek.

A wy, kochane dziateczki, czy rozumiecie, co to znaczy „szkółka dla drzewek?".

Generał Le Rond w Katowicach.

Słyszałyście zapewne, kochane dziateczki, od swych rodziców, lub starszych sióstr i braci, którzy chodzą do szkół na Śląsku, że w ubiegłą niedzielę odbyła się w Katowicach wielka uroczystość przyjęcia generała Le Ronda. Ale niejedno z Was nie wie pewnie, co zrobił ów generał, że go dziatwa polska, jak i cały naród witała tak radośnie.

Wiecie chyba, że Śląsk przez kika stuleci należał do niemców i dopiero po wojnie światowej zdecydowano, że lud śląski sam postanowi o swoim losie i opowie się albo za Polską albo za Niemcami. Odbył się więc dwa lata temu tak zwany plebiscyt, czyli głosowanie i wtedy to, mimo rozmaitych nadużyć ze strony niemców, lud śląski postanowił, aby Śląsk należał do Polski. A nie cała ta ziemia coprawda przypadła Polsce, jednak choć w części sprawiedliwości stało się zadość.

Nad tym, aby głosowanie odbyło się sprawiedliwie, czuwał właśnie francuski generał Le Rond. W znacznej mierze jego jest zasługą, że najbogatsza część Śląska przypada Polsce. Za to też naród polski okazuje tyle objawów wdzięczności generałowi Le Rondowi, a dzieje naszej ojczyzny zawsze z miłością będą wspominały nazwisko tego prawdziwego przyjaciela Polski.

Niedługo naród nasz powita na swej ziemi innego wielkiego bohatera Francji, marszałka Focha (czytaj Fosza), który zwyciężył niemców w czasie wojny światowej. Ale o nim napiszemy w następnym numerze „Iskierki".

ROZRYWKI.

Rozwiązanie szarady: ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

Rozwiązanie łamigłówki: GROTA ŁOKIETKA.

Nagrody za dobre rozwiązanie otrzymali: Alina Karbowska, M. Wieczorkowski, Janek Kowalski z Marjackiej, Eddie Polo (Włodzio Matwiejew), Mircia Bieńczykówna, Stanisław L-ski, Zygmuś St. z Będzina, Wiktorynka z Czeladzi, Śmieszek z Pogoni i Filutka.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

(Ułożył Wacuś jedynak z Będzina).

Z następujących sylab ułożyć 22 wyrazy, których początkowe litery, czytane z góry na dół utworzą imię i nazwisko pisarza polskiego.

SYLABY: nans—gur—grzeb—wan—nja—i—kan—lon—to—pi ka—jem—ta—ryd—ja—tum—ga—ze—si—ty—si—za—sto—nus—szekę we—na—cej—e—jul—ta—ga—er—dąb—dy—pir—mis—zło—zy—róz—del—weg—a—ter—or—fi—dam—y—re—rot—zło—nor.

ZNACZENIE WYRAZÓW: 1) Imię żeńskie. 2) Państwo w Europie. 3) Ujście rzeki. 4) Lekarstwo na niegrzeczne dzieci 5) Dawna moneta. 6) Miasto w Azji. 7) Imię męskie. 8) Nauka o zjawiskach przyrody. 9) Miasto w Holandji. 10) Samogłoska. 11) Wyspa w Azji. 12) Metal. 13) Rzeka w Ameryce. 14) Służący oficera. 15) Drzewo. 16) Rodzaj wozu. 17) Stolica Chorwacji. 18) Państwo w Europie. 19) Jedna z planet. 20) Nazwisko pisarza angielskiego. 21) Zwierzę. 22) Imię żeńskie.

Redaktor: W. Monsiorski. Tłocznia: „Kurjer Zachodni", S.A.